№ 20.

# Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.
*Rej z Naglowic.*

**ROK 1845.** Poznań, dnia 29. Września.

*DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień, w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów* **3**, *i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.*

W Bibliotece Warszawskiéj z Lipca r. b. czytamy wyjątek z listu pana J. Kraszewskiego, w którym ubolewa na polskie księgarstwo, na ludzi bogatszych nawet kupowaniem książek literatury niepopierających, na trzpiotowactwo publiczności czytającéj, nakoniec na pisma poznańskie, że krzyczą na literatów polskich innych prowincyj i przenoszą swoje fałszywe sądy do pism niemieckich. Jest to wszystko prawda, ale to niepochodzi stąd żeby my Polacy byli gorszymi ludzmi jak drudzy, tylko pochodzi z naszego położenia. Gdzież księgarstwo ma porę rozwinąć się swobodnie. Bogacze nasi kupują jeszcze więcéj jak w całéj Europie, bo biblioteka w Polsce należy przynajmniéj do najozdobniejszych mebli. Czytelnicy niesą gruntowni, ale jakże rzadko odbierają przygotowanie do gruntowności; niemają pewnych zasad, ale gdzież tym zasadom pewnym, które muszą być narodowemi jest należyta pora do swobodnego rozwoju. Ileż to naszych uniwersytetów, które z powołania są żniczami wiecznie gorejącéj umiejętności i jakże ten jedyny krakowski uniwersytet niepokrępowany względami zewnętrznymi. Poznańskie pisma krzyczą i czasem niesłusznie, bo niewysłuchają strony obwinionéj, a ta jest w takiém położeniu, że przesłuchaną być niemoże, ale ta niesłuszność zdarza się bardzo rzadko. Poznańskie pisma krzyczą tylko na pochlebianie przemocy, czy cudzoziemskiéj czy wewnętrznéj arystokratycznéj, krzyczą na znieważanie świętości i relikwi i narodowych. Wielkopolanie pozostają chętnie przy tytule „krzykaczy“ szczycą się nim, bo wiedzą, że był czas przedczynowy, w którym i apostołowie ten tytuł nosili. Pomimo to, Wielkopolanie niemyślą, że są wyżsi nad innych rodaków: wiedzą, że tylko dla tego sobie więcéj pozwalają, że im to uchodzi, ale też wiedzą, że to ich powinnością i gdyby jéj niewypełniali, musieliby odpowiadać na tymtu i na drugim świecie. Utrzymajmy naprzód godność, któréj pochlebcy, ludzie względów czasowych utrzymać niemogą.

Jeżeli się też stanie czasem krzywda osobista, to ją w imie dobréj sprawy znieść trzeba. Prowincyalizmowéj miłości niewzniecajmy, bo ta jest rozdrobnieniem czyli zniszczeniem ogólnéj. Myśmy wszyscy sobie podobni, tylko w różnych bardżo żyjemy stosunkach.

## Poświęcenie się.

*Przez L. S.*

*(Ciąg dalszy.)*

Mimo niecierpliwości mego przyjaciela w pokończeniu interesów pobyt nasz w Wilnie przedłużał się nad zakres. Niemając co robić po wieczorach, weszliśmy do jednéj kawiarni dla zabicia czasu; gdzie zastaliśmy kilka osób grających w szachy. Janusz uchodził za wybornego gracza i z wielką uwagą przypatrywał się partyi zaczętéj między dwoma przeciwnikami. Mnie zaś nietyle gra zajmowała, ile jeden z grających. Był to mężczyzna w podeszłym wieku ale silny i czerstwy. Rysy twarzy charakterystyczne nosiły wyraz uderzający, a oczy ocienione czarnemi i dużemi brwiami, taki rzucały połysk, że trudno było

wytrzymać ich spojrzenie. Z resztą nieznajomy ten zdał się być zajętym i roztargnionym; Janusz szczególniéj zwracał jego uwagę; co sprawiało iż widocznie psuł sobie grę i coraz słabiéj opierał się natarciom przeciwnika.

— Otóż i koniec z panem! zawołał nań przeciwnik.

I zrobił skok, nad którym dawno myślał.

— Przy panu niezawodna wygrana, wtrącił Janusz.

Nieznajomy uśmiechnął się z wymownym wyrazem i rzekł:

— Skwapliwie pan sądzisz.

Poczém posunął pieszkiem, i w trzech pociągach zamatował przeciwnika.

Janusz osłupiał. Nieznajomy wziął kapelusz, przyjaźnie go pożegnał i wyszedł z kawiarni. Prawie jednocześnie wyśliśmy za nim.

— To nadzwyczajny człowiek! mówił mi Janusz z uniesieniem.

— Wybornie gra w szachy. Odrzekłem ozięble.

Przechodziliśmy się po placu nic niemówiąc do siebie. Aż też i godzina umówionych pocałunków nadeszła; księżyc w całéj okazałości błyskał swą tarczą na tle ciemno lazurowém. Janusz spojrzał na zegarek, stanął, wlepił oczy w gwiazdę powiernicę, i posłał jéj zwykły pocałunek. Bliskie krząkanie i odgłos kroków były powodem, że się nagle obrócił, i ujrzał nieznajomego zwycięzcę w szachy; czém zmięszany, już się miał do odwrotu, kiedy nieznajomy zbliżył się skwapliwie i wziął go za rękę. W tém poruszeniu, i w wyrazie twarzy bardzo oryginalnéj, było coś tak poważnego tak wyższego, jakby rozkaz któremu Janusz mimowolnie musiał uledz.

— Dla czego pan nieczekasz na odpowiedź? zapytał podnosząc palec na księżyc.

— Na odpowiedź? odrzekł Janusz ze zdziwieniem. — Nierozumiem pana.

— Chwileczkę cierpliwości! mówił nieznajomy z pewną wyższą powagą; a silnie ściskając rękę mego przyjaciela, przytknął mu drugą do serca i nieruchome spojrzenie utopił w księżycu. — Oto ją pan masz: „*Dla sympatyi dwóch dusz kochających się wzajemnie, niema przestrzeni; równie jak dla miłości niema miary czasu.* Zachowaj sobie pan te wyrazy w pamięci, a przekonasz się, żem dobrze przeczytał.

Szczęśliwyś młodzieńcze! kiedyś umiał tak potężne obudzić uczucie.

To powiedziawszy, odszedł. Janusz pozostał w osłupieniu.

— Rzecz niepojęta! — powtarzał półgłosem.

— Bawi się twoim kosztem — rzekłem. Lecz mnie ani słyszał; wyobraźnia jego szybowała w nadziemskiéj sferze.

We dwa dni potém, gdym zrana wszedł do jego pokoju, zastałem go, jak ubrany do połowy siedział na łóżku z czołem utopionem w dłoniach. Na kolanach miał list otwarty; domyśliłem się, że w nim była przyczyna tak głębokich rozmyślań.

— Co to ci jest Januszu? zapytałem z niespokojnością.

Ocknął się, zadrzał i odrzekł słabym głosem:

— Pamiętasz te wyrazy, które mi powiedział onegdaj wieczór ów nieznajomy?

— Pamiętam piąte przez dziesiąte. Coś tam prawił o sympatyi, o przestrzeni, o miłości; zwyczajne banialuki i ogólniki sentymentalne.

— Czytaj! — rzekł, niezważając na moją uwagę i podał mi list. Odebrał go przez pocztę; poznałem rękę Heleny. Pisała w nim po większéj części o ich wieczornych rozmowach za pośrednictwem księżyca i w rzeczy saméj z niemałém zdziwieniem przeczytałem te wyrazy: „Dziś wieczór wpatrując się o umówionéj godzinie w milczącego i bladego posłańca naszych myśli, musiałam w duchu uwierzyć, że: *Dla sympatyi dwóch dusz kochających się wzajemnie niema przestrzeni, równie jak dla miłości niema miary czasu.*“

— Cóż ty na to? — zagadł Janusz widząc żem oniemiał — jakżeż to wytłumaczysz?

— Ni tak ni owak, gdyż boję się pomylić w zdaniu; odparłem. Z tém wszystkiem traf jest nadzwyczajny. Nasz nieznajomy ma wielki dar zgadywania.

W niedowierzaniu obracałem pieczęć na wszystkie strony i przkonałem się, że była nienaruszoną. Z resztą list musiał być pisany w krótce po spotkaniu się z nieznajomym, który żadnym sposobem wiedzieć o nim niemógł. Koniec końców zdarzenie to odnosiłem do owych rzadkich i bajecznych trafów, jakie zachodzą w loteryi lub w kartach. Innego rozwiązania téj zagadki nieumiałem znaleść. Janusz wstrząsał tylko głową i ściskał ramionami.

— „Kto chce wszystkiego rozumem dochodzić,
I umrze, a niebędzie umiał w to ugodzić.“

powiedział Kochanowski, ja toż samo powtarzam.

Na takie dictum trudno było co wyszukać, więc dałem mu pokój. Sam niewiem kiedy, jak i gdzie widywał się z owym nieznajomym; to pewna jednak, iż w mojéj nieobecności schadzali się i częste miewali pogadanki.

Zimne moje uwagi i niedowiarstwo odstręczały Janusza, więc też unikał mię i tém swobodniéj oddawał się ulubionym marzeniom. Jednakże pewnego wieczora wziął mię za rękę i rzekł:

— Czy chcesz mi towarzyszyć?

— Dokąd? zapytałem.

— Na Pohulankę. Mam się zejść z pewną osobą i radbym abyś był świadkiem osobliwszych doświadczeń.

— Oho! rozumiem; zapewne ów czarnoksiężnik pokaże nam jakie figle. Zgoda, służę ci; ja na to, jak na lato.

Podwójnym krokiem udaliśmy się na przedmieście zwane Pohulanką.

Wieczór był przepyszny. Upał dzienny pomięszał się z wilgotnym chłodem spadającéj rosy; a niebo gęsto śkliło się gwiazdami. Na ustroniu stała grupa odwiecznych lip; wśród nich przeglądał bialutki dworek, do którego prowadziła wązka uliczka z bujnych krzaków, bzów i akacyi. Wszedłszy w ten chodnik zdawało nam się, że na całe obejście niema żywéj duszy; lecz zaledwie stanęliśmy przed fórtką, kiedy nieznajomy zjawił się przed nami i dał znak ręką abyśmy szli za nim. Ciemność była do koła, że i oczy wykol, jednak postać naszego przewodnika olbrzymia wysuwała się na tle tych cieni, i przysiągłbym był wtedy, że z ócz widziałem, jak mu wyskakiwały iskry. — Przebywszy po omacku jakiś przedsionek, wprowadzeni zostaliśmy do obszernéj i wysokiéj izby z oknami u góry.

Nieznajomy zatrzymał się i rzekł poważnym głosem:

— Cieszy mnie, że panów, tu widzę. Jestem dziś w usposobieniu i dotrzymam com przyrzekł. — A pan? zapytał Janusza.

— Gotów jestem na jego rozkazy. — Przebąknął zapytany.

Pomiarkowałem, że w głosie mego przyjaciela przebijało głębokie wzruszenie.

— Módl się, miéj nadzieję... i nic niemów.

Odpowiedział uroczyście nieznajomy; poczém schyliwszy głowę niby skupiając ducha w głębi, podniósł ją i spojrzał na księżyc przeciskający się przez szyby.

— Nadeszła godzina! dodał z cicha; proszę za mną.

Odchyliwszy zasłonę, znaleźliśmy się w bocznym pokoiku, gdzie w suficie okrągłe okno szklanne wpuszczało szeroki promień srebrnego światła. Na środku stało staroświeckie krzesło z poręczami i w niém więcéj leżącą niż siedzącą ujrzeliśmy dziewczynę, mającą około lat dwunastu, zdawała się być pogrążoną w śnie głębokim. Jasne złotawe włosy, spadały jéj w nieładzie na nagie ramiona i ocieniały bladą i delikatną twarzyczkę, za cały ubiór miała długą białą sukienkę, która oświecona żywym blaskiem księżyca, czyniła ją podobną jeśli nie do jakiejś napowietrznéj istoty, to do marmurowego posągu. W zachwyceniu wpatrywałem się w śpiącą, bo rzeczywiście, coś bardzo uroczego miało w oczach moich to poetyczne i prawie nadziemskie zjawisko.

— Oto jest dziewczynka, rzekł nieznajomy, uśpiona snem magnetycznym; oczy jéj aczkolwiek zamknięte przenikną swém spojrzeniem i czas i przestrzeń. Wszechwładnie panuję nad jéj duchem; co rozkażę musi wypełnić.

To powiedziawszy podniósł rękę... i jakby skutkiem tego samego ruchu, jakby niezwyciężoną siłą przyciągania, ramie dziewczyny również się podniosło aż do wysokości ramienia magnetyzera i zawisło wyciągnięte i martwe w powietrzu; opuścił ramie i tym samym mechanizmem ramie dziewczyny spoczęło na poręczy krzesła. — Znowu dał znak palcem, a główka jéj posłuszna niewidomemu rozkazowi zwolna się obróciła i spojrzała ku górnéj szybie.

Niemogliśmy wyjść z podziwienia.

— Czy pan przyniósłeś jaką rzecz pochodzącą od owéj osoby? szepnął nieznajomy do ucha Januszowi.

— Przyniosłem! odrzekł i wręczył mu plecionkę z włosów, którą mu narzeczona dała przed wyjazdem.

— To dobrze powiedział magnetyzer i położył ją na sercu śpiącéj, poczém do nas się przybliżył.

— Patrzaj! rzekł cichym lecz głębokim tonem.

Dziewczyna wstała na nogi, lecz w zupełném wyprężeniu, jakby podniesiona obcą siłą i twarz swoją zwróciła na okno kędy księżyc w pełni przeglądał.

— Widzę ją! — rzekła — ona także patrzy.

A głosek jéj zdawał się być oddźwiękiem dalekim i prawie z ust niewychodził.

— Kogoż widzsz?

— Widzę tę co mam przy sercu.

— Jakżesz wygląda? co robi? i gdzie?

— Oparta jest na balkonie, w około niéj stoją kwiaty... czarne jéj włosy spadają na szyję i ramiona... oczy jéj we mnie patrzą... a jak słodko!... teraz posyła pocałunek... temu...

I ruchem ręki wskazała Janusza, słuchającego ją z natężeniem.

Tu widocznie zdawała się słabnąć i opadać na krzesło; poczém znowu kamienny sen przywalił ją swoim ciężarem.

— Chciałbyś pan co więcéj jeszcze usłyszeć? zapytał nieznajomy.

— Czy równie w przyszłości jak w teraźniejszości może czytać? zrobił uwagę Janusz.

Bez wątpienia! odparł magnetyzer i rozkazującym tonem rzekł do dziewczyny:

— Patrzaj!

— Och! już dosyć! już dosyć! mówiła głosem jęczącym i błagalnym rzucając się na krześle; zadajesz mi mękę, niewytrzymam.

Głowa jéj spadając w konwulsyjnym drgnieniu uderzyła o drewnianą poręcz.

— Wstań i patrzaj! mówił nieubłagany. — Co będzie robiła za trzy dni?

— Śmieje się i plecie wieniec z bławatków.

— A za tydzień?

— Widzę ją... to ona sama... och! jakżeż zmieniona... jaka blada... och! cierpię, okropnie cierpię, bo i ona cierpi okropnie... ach! serce mi pęka... konam... bo i ona...

I wśrod tych przerywanych wyrazów rzucała się i wiła w widocznym bólu. Wdzięczna jéj twarzyczka mieniła się i kurczyła, a ręce zdały się odpychać i strącać jakiś ciężar, który jéj piersi przygniatał; dźwięk mowy coraz był słabszym i przytłumionym a westchnienia i jęki, to się wzmagały, to słabły jak u konającéj osoby. Przyznam się wam moi Panowie, że ostatnie słowa téj dziewczyny, szamocącéj się pod potęgą jakiegoś demona, miały w sobie coś tak przejmującego, że mię niedowiarka, mimowolny przestrach ogarnął, i już chciałem prosić magnetyzera, aby tych męczarni poprzestał, gdy dziewczyna znowu zaczęła mówić:

— Widzę ją! och widzę... zapadłe jagody... oczy świecą jak robaczki... niemogę znieść tego wzroku... gwałtu! gwałtu! niewytrzymam... konam... oderwijcie tego trupa... leży mi tu na sercu... —

Magnetyzer poskoczył i odjął plecionkę włosów z serca dziewczyny, która zaraz uciszyła się.

— Ciekawość pańska zostałaż zaspokojoną? zapytał Janusza głosem wzruszonym. Teraz proszę na ustęp. —

Janusz niemógł ni ust otworzyć, ani kroku postąpić, tak gwałtownie skutkowała na nim ta scena. Bezprzytomnego wyciągnąłem z pokoju; chłód wieczorny wrócił mu zmysły; a niedaleko od tego miejsca przechodząca dorożka, zawiozła nas do domu. Długo w noc niemogłem mu dać rady: rospaczał, ręce łamał, odchodził prawie od przytomności; dopiero pare godzin snu nad rankiem pokrzepiło siły jego moralne. Moje uwagi i różne dowody na jakie się zdobyć mogłem, niewiele skutkowały, bo i ja sam tak mocno byłem pod wpływem wczorajszéj sceny, że niewiedziałem gdzie czerpać silnych przekonań. Zresztą Janusz z łatwością zbijał wszystkie moje argumenta oparte po większéj części na samych przypuszczeniach i na tym spowszedniałym frazesie: że szarlatan poznawszy się na jego łatwowierności odegrał z nami komedyję.

Nic to niepomagało: Janusz kazał się pakować służącym i rzekł mi stanowczo:

Dłużéj tu zostać niemogę; tylko przy niéj odzyskam dawną spokojność i przekonam się, czy mnie oszukano, lub nie.

*(Dalszy ciąg nastąpi.)*

---

# Powiastki i opowiadania żołnierskie

## z wojen od 1799. do 1812. r.

przez

**AD. AM. KOSIŃSKIEGO.**

*(Ciąg dalszy.)*

A katedra!

O! powitaj świetnico, któréj równą w ogromie, ale nie w świetności, nie w bogactwie, jedna tylko stolica chrześcijaństwa poszczycić się może: Hiszpania, niema podobnéj tobie.

Wotum walecznego Don Sancha, stu lat twór wybiłaś wzniosłaś się nad wszystkie inne twe siostry, jak się wzniosła potęga dzielnych Kastylian, nad potęgę rycerskich Arabów — ich Moschei fundamenta, fundamentami tobie, ktrzyż twój roztrącił dumne półksiężyca znamie, jak Bóg człowiek, któremuś poświęcona, wzniósł gmach najświętszéj swéj wiary, na ruderach poganizmu — jak znamie jego cierpień, zastąpiło srebrne i złote bałwany zgrzybiałego świata.

Lecz od którego z twych cudów, od któréj z harmonijnych twych części, katedro, mam zacząć twój opis?

Katolik, od ołtarzy zacznę....

Każdy z tych ołtarzy, a było ich ośmdziesiąt w samym wnętrzu świątyni, z czystego srebra wykuty. Hiszpan nie lichwiarz wdzięcznością; — gdy Kolomb nowy świat mu pokazał, gdy skarby Mexiku i Peru stanęły na jego rozkazy, on zanim pomyślał aby jaką ich cząstkę sobie przywłaszczyć, wprzód chciał Bogu co bozkiego oddać, i nie dziesięcinę niósł, nie połowicę swych łupów, lecz wszystko co miał, co usilną pracą, ciężkim potem i krwią swoją mógł zdobyć.

I kiedy ośmdziesiąt ołtarzy ze srebra już ulał, kiedy je oblamkami złota ozdobił, w parły, szafiry i rubiny przyodział, postawił na nich aniołów i wielkich ludzi swéj wiary, wizerunki także ze srebra, i kładł na nie złoto, sypał drogie kamienie tak hojmie, jak człek północy swoje bohomazy przyozdabia szychem, okrajkami sukien i gałgankami, których sam wstydziłby się nosić.

A dwie szczególniéj figury jaśniały w owym przybytku skarbów i sztuki: wizerunki dwóch patronów miasta, świętych Izydora i Leandra. Każdy olbrzymiego wymiaru — na każdy nie jeden galjon ojuczony łupami Mexiku i Peru, wyrzucił do dna swe skarby; bo patron miasta dla miasta hiszpażskiego, toż jego wiara i duma — niezdobić go, nieupięknić byłoby hańbą, obelgą równie dla bóztwa jak siebie.

I niby Twórcy Bogu, naczynia zkąd płynęły światło i dymy ofiarne miłe niebyły — a niby Kaimowego skąpstwa, gdy w nich złoto srebro i drogie niebłyszczą kamienie — to téż Sewilczyk kościelne świeczniki, lampy i kadzielnice nie tylko z szczerego złóta cudowną robotą wyrzezał, ale téż ozdobił je garściami cennych kamieni, z których niejeden mógłby świetnieć w monarszéj koronie, nie jeden mógłby opłacić obszerny gród, zamożne posiadłości książęce.

Cyborium również z złota wykute, dziesięć stóp wysokości i w szerokości też tyle zajęło; czterdzieści ośm kolumn okrążyło je wiankiem: przy każdéj gdybyś stanął, drobnym karłem wydałbyś się tylko.

Monstracium raz w rok, w uroczyste chrześcijanowi święto Bożego ciała wydobywane ze skarbu, od dwóch dziesiątków kapłanów dźwigane, 17,000 grzywien srebra ważyło — niemogłeś przeliczyć drogich kamieni, które zdobiły ten kolos; znalazłeś tam całe wieńce rubinów, całe korony szafirów, całe kolumny djamentów, szmaragdów, topazów — cóż dopiero kunszt roboty! życie kilkunastu ludzi, przez ciąg półwieku, kosztowała ona.

Lecz dość tych obrazków cielesnego blasku świątyni — duch który ją napełnia, ożywia, czyż nie większéj powinien byc wagi dla ciebie?

Kiedy staniesz przy grobowcu świętego króla Ferdynanda, kiedyś już dość uwielbiał ten pomnik, do którego cały hufiec rycerzy w kamiennych zbrojach, w hełmach i puklerzach przylgnął, spojrzyj na okrąg siebie.

Nawy kościoła nieprzejrzysz, nie zliczysz tych kaplic co na prawo i lewo rozbiegły długim szeregiem; każda z nich to inna świątynia, że kiedy kapłan w jednéj świętą ofiarę odprawia, do drugiéj nawet echo jego pieśni niedojdzie — nieprzeliczysz tych kolumn, nagrobków, posągów i olbrzymich łuków, które w harmonijnym ładzie w różnych kierunkach, rozbiegają przed oczami twojemi.

Coś niewysłowionego, jakaś silna pobożność, jakaś pewność zbawienia, raju nieba, ogarnia wtedy twa dusza wyobraźnią, że kolano zginasz i modlić się musisz.

A inaczéj modli się w ogromnych bezmiernych świątyniach południa, jak w chłodnych kletach, w ubogich i drobnych wizerunkach świątyń północy.

I pojmiesz w ówczas Hiszpanów, i niedziwisz się Inkwizycyi świętéj i tylu krwi co dla wiary popłynęła w obu Kastyliach, w obu Aragoniach — bo i ty gdybyś zamieszkiwał tu, gdybyś codziennie tłoczył się przed złote ołtarze Sewilskiéj katedry, gubił myśl i oko w jéj bezmiarze, pod jéj olbrzymiem sklepieniem — i ty mówię, jeźli Inkwizytorem niebyłbyś sam, to z radością widziałbyś śmierć heretyka, bo on byłby dla ciebie szaleńcem, opętanym od czarta, urągającym świętościom wiary, właśnie w jéj przybytku bluźniącym Bogu, kiedy on swym domem, swą wielkością i potęgą, cieleśnie, materyalnie, woła jego duszy i oku.

* * *

Ani w uroczysty dzień Zielonych świątek w pamiętniku natchnienia świętą wiarą świata całego, ni w dzień Bożego Ciała, głównéj uroczystości Sewilskiéj, Katedra-Moschea niebyła ani piękniejszą ani ludniejszą jak w święto ślubu Sennory Teressy des los Dolores Hrabianki Cordowy.

Sam Arcy-Biskup w pontyfikalne szaty ubrany, z mitrą na głowie — która ceną nie jedną monarszą koronę powstydzić by mogła — wiązał stułą dłonie, błogosławił młodéj parze; w okrąg niego stał tłum mnogi, kapłani, Grandowie, ich żony, wszystko co tylko Sewika co tylko trzy Andaluzyjskie prowincye królestwa znakomitego rodem, dostojeństwem i majątkiem liczyły.

Daléj, za kratką oddzielającą Sacrinium od resztki kościoła, lud prosty Sewilli, jéj okolic, przedmieść a nawet dalszych stron zebrał się; lud to gwarliwy, źle odziany, ponury, z ciekawością ku wielkiemu ołtarzowi poglądał, podsadzał się na palce, zazierał przez ramiona sąsiadów, aby lepiéj i dogodniéj obrzędowi całemu mógł się przypatrzyć.

— Jak najstarsi ludzie pamięcią mogą zasiągnąć jeszcze tak świetnego ślubu niewidziała Sewilla — rzekła poważna jakaś matrona, może cechmistrzowa którego z rzemiosi: — sam Arcy-Biskup ślub daje, przemowę ma; dla królewskiéj córki, Infantki, a nawet dla Infanta nie mógłby więcéj uczynić.

— Pannę młodą, wiódł sam Vice-Rej przed ołtarz, toż i to honor niemały — wtrąciła druga.

— Jak ona piękna w téj jedwabnéj sukni! — szepnął z zapałem jakiś młodzian blizko stojący. Poważna matrona przerwała jego wykrzyk:

— A to mi śliczna rzecz chwalić piękność takiéj Pani jak Hrabianka! Czyś ty Grand lub Książę, tobie igły nici i tłustéj narzeczonéj pilnować.

Młodzian zarumienił się cały, chciał coś rzec, uciszono go.

— Cichoż bądź, czy nieuważasz? Ksiądz Arcy-Biskup bierze stułę, przysięgę im czyta.

— Czy płacze ona? pozwól niech spojrzę....

— Ależ nietłocz się tak, uchylę nieco głowy, popatrz.

— Ach nie płacze, owszem, uśmiecha się.

— Uśmiecha się, doprawdy?

— Tak, widzę przecież obydwoma oczyma: zły znak Sennora.

— I jak jeszcze, któż widział przy ołtarzu niezapłakać; ja temu lat dwadzieścia, gdym szła za mąż, płakałam łzami rzewnemi, i dla tego związek mój był szczęśliwy, szkoda tylko, że w pół roku umarł mój mąż!

— Inne czasy inne zwyczaje, a czy lepsze Bóg to zna; niepłakać przy ślubie, toż hańba, zgorszenie, wymysł szatański, Francuzki.

— Ach tak, Francuzi winni temu, oni wszystko u nas popsuli, heretycy.

— Poganie.

— W Pana Boga, w Najświętszą Pannę niewierzą.

Żegnano się trwożliwie na okrąg.

A kiedy tak żegnano się i coś z cicha szeptano przeciskając się przez tłum trzech Grandów przeszło obok kumoszek; coś w ich postawach, w ich oczach było tak dzikiego, strasznego, że wszystkie matrony mimowolnie zadrzały.

Znacież ich?

— Ja dobrze; ten na prawo Don Manuello Cavalerro, Grand i rodak tutejszy; z lewéj strony Juseppo Omeira także Grand; w środku zaś...

— Och tego w środku któżby nieznał, wszakże to krew krwi naszéj, kość naszych kości, jego ród równie starożytny jak nasze miasto, jego przodkowie zbudowali Giraldę, musieli mieć złota niemało, to Don Alfonso di Guevra.

— Tak Alfonso di Guevra, lecz spojrz na jego twarz, blada, żółta, niby trupia.

— A oczy jak lśnią.

— Zgrzyta zębem, pieni się...

— Mnie się zdaje, on dotknięty Solano.

— I ja także.

I wszystkie przeżegnały się pobożnie, i znów był szept.

— Wiesz co ja słyszałem? on był uwięziony.

— Uwięziony? czyż może być jeden z Guevrów uwięziony? toż byłoby to samo co Infanta samego uwięzić.

— Cóż niepodobnego w tych czasach odkąd Francuzi Madrid zajęli, obsadzili naszą Sewillę.

— Ależ jaki dano powód?

— Solano.

— Dla Solano więzić Granda, to niepodobieństwo, inną przyczynę wiem: kochał Sennoritę di Cordova.

— Doprawdy?

— Wychowali się pospołem, jéj Duegna Gennara mówiła mi o tém; Solano był czczy tylko pozór; uwięził go mszcząc się Francuz.

— A gdyby istotnie był on dotknięty Solano? twarz sina, oko zabiegłe krwią, włos w nieładzie, czyliż niezwiastuje go? cóż wtedy?

— Biada niejednemu wtedy...

— Ach tak biada, i kto wie niedaleko może; wiem pewną rzecz: szepnęła oglądajac się bacznie na okrąg sucha i śniada matrona, żona nożownika z przedmieścia.

— Cóż takiego, cóż? powiedz.

— Zachowajcie w sekrecie: u mego męża niedawno trzysta obstalowano sztyletów, odebrano je dzisiaj; Don Manuello i Pater Jakobo płacili; toż nie dla igraszki tyle żelaza.

— Pater Jakobo święty człowiek, znam go, mówią że był członkiem... — niedokończyła, Inkwizyi świętéj: a przecież matrony spojrzały się trwożnie na okrąg, znowu przeżegnały ukradkiem.

— Istotnie jest coś, lud z San Crusa zebrał się.

— Mahowie z Osoria i Castello di Guevra...

— Boże nas broń.

— Boże nam dopomagaj — głośno wyrzekła Duogna.

— Milczeć! alboż to nieznacie przysłowia: Słowo nieraz sztyletu raz myli, lub go w własną kieruje pierś — ponuro rzekł jakiś Maho, co obwinion czarną mantą: przysłuchiwał się od chwil kilku rozmowie matron.

— Felippo z San Lucar — szepnęła Duegna.

— Mnie się zdaje, wyjdźmy, gdzie on, tam krew.

— Chciały istotnie wyjść, lecz w téj chwili, *Veni Creator* zagrzmiały organy; Grandowie i Grandynie i przed ołtarz zaczęli się tłoczyć, grubym wiankiem okrążyli młodą parę, niosąc jéj piękne słowa winszunku i życzeń.

— Idą, wychodzą już, czekajmy.

Młoda para chciała opuścić świątynie; na wysokiem czole Pułkownika jasna pogoda, rzeźwa radość w oku — radość i wesele też i w oku Teresytty, szczęście bez granic, wszystkich nadziei, wszystkich marzeń błoga swoboda — gdy nagle zadrzy, pobladnie i przesunie się, uchwyci silnie ramie męża kochanka...

— Dla Boga co ci jest Teresitto?

— Ach on tam, znowu on!

— Kto on, kto taki?

— Spojrz chwilkę na prawo...

Przy żelaznéj pozłoconéj kracie, dzielącéj Sakrinium od reszty kościoła, stał z dwoma przyjaciołmi Alfonso di Guevra: twarz jego blada, sina, włosy w nieładzie, oko zaszłe krwią, utopiło się ono dwoma promieniami złowieszczych spojrzeń, zginęło w modrych źrenicach dziewicy.

— Dla Boga, on dotknięty Solano, — poszepnął Hrabia di Cordova.

— Tak, to Solano — doszepnęli Grandowie:

— Solano! — trwożnie wykrzyknęły Grandynie cofając się, mięszając z przestrachu.

Pułkownik wyrzekł śmiejąc się:

— I cóż że to Solano, że nim ktoś, jakieś dziecie dotknione: czyż nam śmierć, zguba grozi dla tego? czyż nieznajdziem dość rąk i siły, aby w razie napadu rozbroić szaleńca? Chodźmy Panowie i Panie.

I tłum wyjść chciał, zbierał się w gromadki i w pary, jak komu było dogodniéj, jak wiązała chęć lub interes — gdy Don Antonio Almodovar do Hrabiego przystąpił.

— Złe wiadomości Sennor — wyrzekł — lud się burzy, moja policya odkryła spisek przeciw nam, Pułkownikowi i wszystkim Francuzom.

Grand wzdrygnął: — Kto na czele, na kiedy, hasło — jąkał.

Na czele Manuello Cavallero i Don Alfonso di Guevra: hasło, wyjście młodéj pary z kościoła.

A Pułkownik z młodą swą żoną, już byli o kilka kroków od kraty.

Hrabia poskoczył ku nim drżący i blady.

— Dla Boga — szeptał — wstrzymajcie się, śmierć nam wszystkim grozi, spisek!

Dziewica wpół zemdlona, upadła w objęcia kochanka — odparł on dumnie, spokojnie:

— Spisek, co znowu? któżby śmiał go knować, niesposób.

— Korredzidor powie ci.

Korredzidor potwierdził wiadomość.

— Kilkunastu próżniaczéj młodzieży zebrało się dziś rano w pałacu Hidalgów di Guevra, skojarzył wszystkich Pater Jakobo, przysięgali na krucyfix, śmierć twoją Pułkowniku, śmierć nas wszystkich; podburzają lud...

— I cóż mi twój lud; — skinął, Adjutant przybiegł.

— Czy pułk, jak zaleciłem, przed kościołem znajduje się?

— Tak jest?

— Jeden szwadron niech tu wejdzie i uformuje szpaler aż do głównych drzwi, w razie poruszenia ludu, nieoszczędzać nikogo, rozumiesz mnie Pan?

— Rozumiem Pułkowniku.

— Och ja się boję; bardzo boję się — szeptało dziewcze...

— Ty się boisz przy mnie, przy mym boku Teresitto? czy niewierzysz w me ramię, w mą szablę?

— Ich tyle Juenitto!

Pułkownik okiem pogardy zmierzył tłum cały — pomiędzy nim spokojnie, posępnie, żaden sztylet niezalśni, żaden złowieszczy wyraz niezabrzmi, a organy dźwięczą *Veni Creator*, a czarowne muzyki tony, mięszają się do nich: — Uprzedzenie, plotki bab, trwożliwość Korredzidora, — szepnął rycerz do siebie — czczy przestrach tylko: sięgnął okiem ku stronie gdzie przed chwilą stał Don Alfonso, już go tam nieznalazł.

Zły duch młodziana, Pater Don Jakobo, zaszedł mu drogę.

— Odkryci jesteśmy, Korredzidor wie wszystko.

— I cóż mnie to obchodzi?

— Co cię obchodzi człowieku? śmierć ci więc niczém?

— Ach ja mam sztylet świeżo wyostrzony za nadrzem, piecze on pierś, pali krew i krwią zbroczyć się musi.

— Chyba twoją.

— Moją? być może, ale jéj wprzód; och śmierć jéj, śmierć zbrodniarce, śmierć żonie wroga! Wszakże ona już żona Francuza!

Ściskał dłonie w kłębek, szamotał się szalenie.

— Dla Boga uspokój się, uciekaj, tu niesposób pozostać, Adjutant po żołnierzy odbiegł.

— Nie księże ja tu zostanę, tu jéj, tu mój zgon.

— Tylko twój, mówię ci, przekonasz się za chwilę, gdy wejdą żołnierze: ujmą cię, na tortury wezmą, wyznasz wszystko...

Pomimo rad, młodzian niechciał zejść z miejsca aż istotnie wszedł długi szereg żołnierzy i rozpychając gwałtownie szablą i pięścią lud, ustawił się sznurkiem przez całą długość świątyni.

— A więc teraz pojmujesz — szepnął Pater.

— Ach to piekło, szatan się wmięszał: ja bym niemiał utopić żelaza w jéj piersi!

Mnich zamyślił się nieco, nagle rozśmiał się dziko, strasznie.

— Ach kiedy tak chcesz, gdy koniecznie chcesz rzecz niestracona jeszcze. Co znaczy ta zapora żołnierzy dla niezliczonego tłumu ludu; chodź w krużganek tam wieczny mrok.

Dziecie zwinęło się, uśmiechnęło radośnie, rada Mnicha wyraźnie była mu po myśli, po sercu — niby jadowity czychający na łup wąż, lekko zręcznie sunął z miejsca, wtłoczył się w tłum silném ramieniem rozpychał go, drogę sobie torował; on czém prędzéj w krużganku chciał stanąć, pojmował że tam szatan przygotował mu ucztę zemsty — krew tam czuł, widział.

Pułkownik wszedłszy w szpaler żołnierzy wiodąc kochankę, uśmiechał się dumnie, wesoło,

A co Panowie, czy niejesteśmy bezpieczni? Grandowie i Grandynie, dworowali z Korredzidora, z jego Policyi i nowin — lud wołał, kobiety najwięcéj:

— *Viva* Pułkownik! *viva* Donna Teressa!

— Teresitto, uśmiechnij się, podziękuj im...

Teresitta drzała i choć w oku wiła gruba łza, uśmiechała się przecież: on tak kazał, on tak chciał, to dosyć było dla biednéj...

— Zimno mi.

— Zimno ci? dziecię, w takim zaduchu, upale.

— Ach ty niepojmujesz Juanitto, co mi jest: te oczy, te jego oczy, uśmiech; drzę niemogę się uspokoić.

Pułkownik uśmiechnął się znowu: — Niewiedziałem żeś taka lękliwa, źle na żonę żołnierza.

I dodał:

— Jutro, dziś nawet gdy zechcesz opuściemy Sewillę.

— O ja chcę, dobrze mój luby, mój drogi; tu żyć, widzieć go, to męczarnie!

I oko w oku, dłoń w dłoni, sunęli po marmurowéj posadzce kościoła, mijali jego świetne nagrobki łuki, alabastrowe ołtarze, złote i srebrne pomniki pobożności Hiszpanów, ni jeden nieudarowawszy uwagą.

A lud wołał jak przedtém:

— *Viva* Pułkownik! *viva* Donna Teressa.

— I cóż Don Antonio, gdzie twój spisek, gdzie twe sztylety?

— Jeszcze jesteśmy w kościele — zimno odparł zagadniony.

— Za minutę z niego wyjdziemy, otóż i krużganek. Ach śmiech mnie bierze twój przestrach nowiny...

Zadrzał, niedokończył peryodu, bo...

*(Dokończenie nastąpi.)*

# MODY.

Paryż, dnia 20. Września 1845.

Bardzo wiele teraz tańczą, a szczególniéj u wód i tu téż można napatrzeć się najnowszym modom i najpiękniejszym ubiorom, które jak się samo przez się rozumie pochodzą z Paryża. Tak posłano przed niedawnym czasem do Baden piękne suknie tarlatanowe, z podwójną powłoką, z wielkiemi jędwabiem haftowanemi bukietami, które są złożone z georgin, astrów itd. Te bukiety były połączone atłasową wstążką. Berta i rękawy tę samą miały ozdobę co powłoka i wianek z podobnych, lecz naturalnych kwiatów wił się pomiędzy splotami włosów; inne suknie były z grenadiny i bareżu, z długą otwartą fręzlą lub z lekkiego powiewnego tulu.

Tkanki szklanne będą w nachodzącéj zimie bardzo modne, i tak do haftu, jako téż i pasamonów używane. Robią także ze szkła piękne ozdoby głowy, które zowią katalońskiemi. Najpiękniejsze robią z płynu szklannego w najrozmaitszych kolorach, tak, iż całość wygląda, jak tkanka klejnotów. Większa część tych strojów głowy są zupełnie białe lub czarne i prócz tego zdobią je aksamitem lub różą z boku.

Oprócz tego robią bardzo piękne fręzle jedwabne i srebrne lub złote, które najpiękniejszy wystrój sukien z krepy haftowanéj stanowić będą.

Na sukniach bareżowych wolą kłaść ku ozdobie tak zwane fręzle mszyste (w kształt mchu,) które tém bardziéj polecamy, iż suknie bareżowe téj zimy na wieczorkach i mniejszych balach modnémi będą. Tkanina ta jest zbyt piękna, by o niéj zapomnieć można; kosztowniejszą się staje tylko garniturem. — Nawet nie chodzące w żałobie damy noszą teraz suknie z czarnego bareżu o trzech falbanach. Najpiękniejsze z tych sukien oszywają aksamitsutaszowym szlaczkiem.

Szlaczki szutasowe z białego jedwabiu, przerabiane nicią złotą lub srebrną, używają do oszyć sukien z białéj krepy lub białéj grenadiny i często będziemy widzieć podobne oszycia w nadchodzącéj zimie.

Powoli pokazują się w zakładach modnych płaszcze i mantille. Po części są one aksamitne; mantille tak są krojone i wielkie, iż poruszenie rąk nie odkrywa bynajmniéj przodu. Mantylle te opatrzone są małémi rękawami.

## Objaśnienie ryciny.

1) Kapelusz jedwabny, sznureczkiem oszyty. Suknia z poil de chèvre. Szarfa kaszemirowa.
2) Strój głowy koronkowy. Suknia z tarlatanu otwarta. Spodnica atłasowa.
3) Krótki surdut. Kamizelka pikowa. Pantalony sukienne.